Nr. 19. We Lwowie dnia 12. maja 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Konstytucja majowa.

(Słowo wstępne na uroczystym wieczorze polskim w Wiedniu dnia 4. maja).

„Przysięgłem Panu i nie będę przysięgi żałował“ — oświadczył Stanisław August 3. maja 1791 r. w kościele świętojańskim wśród dźwięków „Te Deum“, — przyjmując w imieniu całego narodu nową konstytucję, — ostatnią różową jutrznię chylącej się i ginącej rzeczypospolitej. Nazwano tę konstytucję politycznym testamentem Polski — w rzeczywistości testamentem nie była, tylko czystą, jasną, bezbrzeżnie smutną i bezbrzeżnie tragiczną spowiedzią przed zgonem, — zgonem historycznie wielkiego i zasłużonego społeczeństwa. A spowiedź ta wyraźnie mówiła, — że zmarnowano nasze przeznaczenie dziejowe, nasze bujne i kulturalne życie w wiekach średnich i cywilizacyjne zdobycze nasze. Niemieckie mieszczaństwo na polskich obszarach zasymilowało się z przybraną ojczyzną, -- miało szeroki, wolnomyślny samorząd, obfitowało w bogactwa, w dostojność i ekonomiczną potęgę. Kmieć orał czarny ugór — orał nie jako niewolnik przykuty do ziemi, — ale człowiek swobodny, płacący za grunt czynsz, — pracujący dla rodziny, dla pomnożenia własnego statku i dostatku. Ustrój społeczeństwa oparty był na zasadzie pewnej równorzędności stanów i uszanowaniu humanitarnych względów. Pod koniec XV. w. chwieje się ten misterny gmach, rozpada i rozsypuje w końcu w gruzy, — sprowadzając swoim rozkładem wszystkie nieszczęścia i wszystkie zarody złego, — które, jak rdza, żreć miały potem organizm narodowy. — Prywata, — samolubna zawiść szlacheckiej ochlokracji wydzierają kolejno chłopu i mieszczaninowi swobody, ubożą ich, niszczą — sprowadzają ekonomiczną ruinę państwa. Kiedy pokój toruński z 1466 r. oddał przez wcielenie Prus królewskich w ręce Polski oba ujścia Wisły i połączenie bezpośrednie z Bałtykiem, — a wraz z niemi ogromny eksport zbożowy, — zaczęli panowie, potrzebujący za darmo rąk roboczych, zmieniać wolnych kmieciów na niewolników. Z dawnego patrjarchalnego, pięknego, ustroju nic kolejno nie zostało, — wszystko się roztapiało w nienasyconej żądzy jednej wyłącznej kasty. Już w XVII. w. mógł zawołać z zadowoleniem krzykliwy mądrala, moralista i obrońca szlacheckiej gospodarki, M. Fredro: „Szlachcic szczycić się może, iż wiosek i poddanych swych niejako jest udzielnym monarchą“. Za chłopstwem wybiła ostatnia godzina dla mieszczaństwa, — które bujnie się rozrosło i było główną ożywczą arterją Rzeczypospolitej. Był moment, w którym te spolszczone, — z dalekich niemieckich kresów pochodzące żywioły, rozrosły się wspaniale na naszej glebie, zdobyły poważanie dla polskiego handlu i przemysłu na rynkach azjatyckiego wschodu, wytworzyły dumny, bogaty patrycjat, — ceniący swe stanowisko socjalne bardziej, niż herbowe klejnoty, patrycjat, który zgasł z świetnemi nazwiskami Alembeków, Wierzynków, Kampianów i innych. Z starych posępnych nyż kościelnych wyglądają jeszcze dziś z marmuru wykute ich postacie czcigodne, szanowne, zasłużone. Tkwił w nich duch tężyzny i przedsiębiorczości germańskiej, połączony z miękkością i dobrodusznością słowiańską, — szukającą ujścia dla swych ideałów w aktach serca i uczucia. Roztrącono nagle wspaniałe dzieło przeszłości, wydawano konstytucję za konstytucją, — z zamiarem zrujnowania miast i wyciśnięcia ich bogactw i dochodów dla siebie, zabroniono mieszczanom nabywać dobra ziemskie, odebrano im sądownictwo, zrujnowano powierzeniem ustanawiania wag i miar szlacheckim urzędnikom, zniesieniem cechowej organizacji i jedynym w dziejach zakazem eksportu towarów. Kupiec polski stał się kramarzem — jak trafnie powiedziano, a rzemieślnik partaczem. Nad zubożałymi nędzarzami stał starosta, — mandatarjusz szlachty, — gorszy ciemięzca od kozackiej i szwedzkiej szarańczy, — jak się wyrażano. Wraz z zachwianiem i roz-

chwianiem społecznej równowagi, — zaczęło się od religijnych prześladowań. Zniszczenie szło krok w krok za spragnioną rządów, życia i użycia szlachtą. Burzono dyssydenckie zbory, ustanawiano ograniczenia nawet dla unitów, — z gorączką i chciwością pracowano nad rozstrojeniem całej harmonji społecznej. Ten sam duch wyłączności kastowej, który wpędził w poddaństwo chłopstwo, miasta do upadku doprowadził i posiał ziarno wyznaniowych waśni, — potworzył wszystkie anarchiczne instytucje, — pokrywające się pozorami cnót obywatelskich i idealnej, złotej, sielankowej wolności — a raczej wyuzdania, warcholstwa i pospolitego szowinizmu. On był ojcem *liberum veto*, — on przeniósł punkt ciężkości działania z sejmów na sejmiki i zabagnił nasz parlamentaryzm, — on dyktował pacta conventa królom, wstępującym na tron, on z elekcji porobił targi, nędzne licytacje, on zrodził Szajnochowskie „królewięta“, — on był natchnieniem burzycieli i gwałtowników: Zebrzydowskich, Lubomirskich, Radziejowskich, Branickich. Gnił nie naród cały — ale to, co jego czynnik polityczny reprezentowało — szlachta. Złe przybiera rozmiary dodońskiego dębu, który ogromem swoim zasłania przejawiające się tu i owdzie odblaski rozumu i uczciwości. Za Krasińskim można powiedzieć było: „bogi i ludzie szaleją, już się ma pod koniec starożytnemu światu“. I zrywają się rzeczywiście do wieszczb ludzie wielcy, — natchnieni prorocy, — jakby z pośród Izraela powstali, namaszczeni i nastrojowi, — ale mówią do głuchych, gestykulują przed ślepymi. Jakąż elegją, bolem i obywatelską siłą tętnią kazania Skargi,— jak wstrząsającą jest abdykacyjna mowa Jana Kazimierza, — jak bezlitośnym choć tragicznym pozostanie Jan III., gdy zawiódłszy się na swoich, skrzyżował ręce i wybuchł: „jeszcze czterdzieści dni a Niniwa upadnie!“ Oni wskazywali na niebezpieczeństwo, — ale im bardziej wskazywali, — tem większa powódź podmywała stopnie ich królewskiego tronu. Wszystko na opak, na wywrót tłómaczy się i robi w tym kraju, — na każdym kroku przyspiesza się rozwiązanie. Szczęśliwe ocalenie Częstochowy wyzyskuje się n. p. do historjozoficznych poglądów, — że choć Polska wiecznie się wali, — przecież wiecznie stoi — i nigdy nie upadnie, — bo ją szczególniej Panna Święta umiłowała. A więc zachęca się do najszerszej anarchji i bezrządu. Bałamut, kuchmistrz wielki koronny, Wielhorski, robiący na spółkę z Dębickim i Majchrowiczem podobnie dzikie, wedle szlacheckiej recepty poglądy, wyprawia się do Genewy, do Rousseau'a, po radę dla uzdrowienia swej ojczyzny i zanosi do domu oświadczenie wielkiego dziwaka, — że polska konstytucja — to wymarzony ideał na ziemi... Szliśmy zatem do grobu z ewangelją anarchji, — uważając się za apostołów — szliśmy z cudacznymi poglądami i konsekwencją do ostatka. Przy końcu końca ocknął się duch odrodzenia—manifest konającego,— reakcja przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy. Gdy się już wszystko waliło — przystąpiono do dzieła ratunku, — uznano dawne błędy, zbudowano konstytucję majową.

Była ona w znacznej części powrotem do stosunków, które panowały aż pod koniec XV. w. — a tem samem uznaniem, że trzy stulecia zmarnowano. Wprawdzie na podstawie ustawy z 3. Maja 1791 r. zagwarantowano szlachcie uprzywilejowane stanowisko i potwierdzono uzyskane przez nią od Kazimierza W. do Zygmunta Augusta kastowe zdobycze, — pozwolono jednak mieszczaństwu nabywać dobra ziemskie i wybierać własnych delegatów do sejmu, t. z. plenipotentów, którzy mogli bronić sfery interesów mieszczańskich i dążyć do ich rozszerzenia. Otworzono też drogę mieszczaństwu do szlacheckiego klejnotu, nakładając na sejm obowiązek nobilitowania wszystkich plenipotentów, — którzy przez dwa lata zasiadali w komissji policji i skarbu, lub w wojsku rangi kapitana się dosłużyli. W sprawie chłopskiej mógł sejm znacznie mniej dokonać, gdyż niepodobna było znieść pańszczyzny bez odpowiedniego wynagrodzenia szlachty. Znieść pańszczyznę bez indemnizacji znaczyło sprowadzić powszechną ekonomiczną ruinę. Skarb rzeczypospolitej przeświecał pustkami,—na tak potężną socjalną reformę pieniędzy nie było. Zaapelowała zatem konstytucja do szlachty, aby dla miłości ojczyzny, w drodze dobrowolnego ustępstwa, zwalniała kmieci od poddaństwa i stosunek swój do ludności rolnej określała na podstawie wzajemnych umów. W każdym razie oddawała chłopa pod opiekę prawa, wyjmowała go zatem z pod wyłącznego patrymonium pańskiego i pozwoliła szukać sprawiedliwości w publicznych trybunałach. Konstytucja majowa nadała sejmowi nowożytny charakter, zabraniała wojewódzkim sejmikom wydawać instrukcje dla centralnego parlamentu i w konsekwencji tych uchwał zniosła anarchiczne *liberum veto*. Tron uznano dziedzicznym w obrębie dynastji, wzmocniono władzę królewską, uczyniono osobę monarchy świętą, nietykalną, nieodpowiedzialną.

Oto najważniejsze rysy i zarysy wiekopomnego dzieła. Nawoływania Orzechowskiego, Skargi, Stanisława Lubomirskiego i tylu wybitnych statystów znalazły nareszcie oddźwięk, — raczej podzwonne. Konstytucja majowa nie jest zjawiskiem rewolucyjnem, tylko ewolucyjnem, nie znosi różnic stanowych, na pierwszem miejscu stawia interes szlachty, liczy się z historycznym procesem w narodzie. Po kilku wiekach strasznej niewoli i ciemnoty chłopstwa, ruiny, upadku i apatji mieszczaństwa, nadanie natychmiastowe pełni obywatelskich praw obu tym stanom byłoby próbą niebezpieczną. Poszła więc konstytucja drogą pośrednią, podnosząc upośledzone stany, stwarzając im możność swobodnej akcji, otwierając im lepsze na przyszłość horyzonty. Jeden z jej artykułów wyraźnie zaznacza, że po upływie lat 25 może konstytucja uledz rewizji, przewidywano zatem konieczność dalszych reform z ustaleniem się nowych warunków i zmian społecznych. Był zatem dzień 3. maja

potężnem odrodzeniem narodu, jego politycznym przełomem, od którego miał nowe snuć życie i nowe ideały. Nie była ta konstytucja wolną od błędów i usterek, — od ostrożności i pewnej lękliwości. Bladła wobec piorunowo rozbrzmiewających we Francji „praw człowieka“, — tego ogromnego wulkanu, — który dymił oparami krwi ludzkiej i z tych oparów zbudował nowoczesne zasady moralne. Nie o to chodzi wyłącznie, co uchwalono, czemu formę ustawy nadano, — *ale co w toku sejmowych obrad mówiono.* A z mów takiego Butrymowicza, Linowskiego, Kołłontaja, Staszica, Ignacego Potockiego, nawskróś kulturalnych i postępowych, niemal radykalnych czuć było, że nowa cywilizacja stanęła na progach rzeczypospolitej, wdzierała się do niej wszystkiemi szczelinami i niosła wiosnę z dalekiego zachodu. Konstytucja była mimo pewnych niedopowiedzeń reformą pomnikową — na gruncie narodowym. Była i pozostanie samorodną emanacją naszego ducha, krwią naszą i ciałem naszem. Wylęgła się, jak mityczna Afrodyte z głębi piany i z głębi wirów zastarzałej anarchji — a szła ku słońcu przyszłości. Z nią mógł naród śmiało ruszyć dalej w pochód dziejowy. Czy mógł w istocie? Czy nie porzuciłby podniesionego sztandaru? Czyż w rok potem nie zjawiła się Targowica? Zjawiła się zapewne, ale jak przyszła! Przyszła pod naciskiem bagnetów rosyjskich, za inicjatywą garści wsteczników i zaprzańców i pociągnęła za sobą tych, stosunkowo nielicznych malkontentów, którzy tęsknili za dawną anarchją, a następnie całe masy ciemnego tłumu, przesiąkłego zgubnemi doktrynami. Większość narodu była za dziełem majowem, przyjęła je z zapałem. Że ono się wkrótce rozwiało, nie urzeczywistniło— temu winien tragizm dziejowy. Padliśmy na posterunku w chwili najwspanialszego tryumfu moralnego, w chwili wyznania grzechów przeszłości i obietnicy pokuty na przyszłość. Padliśmy, gdy literatura nasza stanęła u zenitu rozwoju klasycyzmu i u świtu romantyzmu. Duch nasz się skupił, uskrzydlił, wzniósł na wyżyny i z tym duchem, przepojonym świetną poezją i ogromną kulturą — legliśmy. Konstytucja majowa była niedwuznacznym protestem moralnym wobec historji, że naród zdobywający się na mądre dzieło ustawodawcze, — ustąpić może przed gwałtem, — ustąpić nie może przed missją, która mu się w słowiańszczyźnie, jako pierwszorzędnemu czynnikowi cywilizacji należy. Po tym proteście moralnym przyszedł drugi — materjalny — Kościuszkowskie powstanie, — heroiczna walka o honor i nic więcej Bez majowej konstytucji zeszlibyśmy z widowni politycznej z tradycją saskiego nierządu, — z tradycją zgnilizny, z tradycją smutnych Falstafów dziejowych; bez Kościuszkowskich haseł, — bez Maciejowic, — zostawilibyśmy po sobie pamięć tchórzów gnuśnych. Poezja legjonów, — poezja Wawru, Dębu, Olszy i tych pamiętnych pól sławy oręża polskiego czerpała natchnienie w akcie odrodzenia się i odmłodzenia, — zawartym w konstytucji. Owe dni majowe niosły po polskich polach, po polskich rzekach, po polskich górach wiosnę, — wiosnę przebaczenia, wyrównania społecznych różnic, — wiosnę wiary. Padła ta wiosna na katafalk, nie skonała jednak. Owszem unosi się nad nami jak rozumna mistrzyni, ucząc, że nienawiść rodzi nienawiść, a miłość — miłość, że sercem trafia się do serc, — a duszą do duszy. Powstanie konstytucji na tle ogromnej anarchji politycznej dowodzi, — że Bóg wybierał nas i wybiera niekiedy za naczynie świetnego rozwoju umysłowego, — za żywioł światła, zapalającego na niebie ludzkiego postępu potężne nieraz gwiazdy. Tragizm tkwi w tem, że *wiecznie panuje rozstrój między wielkością naszej duszy — a tem, co praktycznie przeprowadzamy.* Oby nastąpiła równowaga między duszą naszą a naszymi czynami, — obyśmy wstać mogli, jak ci w ludowem podaniu zakuci w stal Bolesławowi rycerze na dzień potężnego przebudzenia, — oby nam się zdawało, że pogrążeni byliśmy w śnie przykrym, — a teraz podążamy na mleczne drogi:

— — — — — — — gdzie bez końca
Swiecą złociste zmartwychwstania słońca.

Ernest Łuniński.

O KRZYŻAKACH.

Przez

15)

Marję Konopnicką.

Jest-że to typ swego czasu tylko? Tego czasu, w którym taki Henryk, elekt płocki, co go trzeba było za rękawy odciągać od cudnej Ryngajły, gdy chodzi o poślubienie jej — woła: „Ja sam sobie dyspensę dam!“ — Tego czasu, w którym i insi mawiali: „Nie rozgrzeszy papież rzymski, to rozgrzeszy awinioński“. Czasu, w którym pustelnik, „jen więcej zbojem, niźli pustelnikiem patrzał“ — toporem kości niedźwiedzie w piątek łupa, a szpik z nich wysysa, iż po nim „cudowne widzenia miewa, i aże do południa nazajutrz prorokować może“. Czasu, w którym takich,

co choć „z pogoloną głową“ „prasnęli księgi“, i jak owi „Clerici scholares“ Opata, włóczyli się z lutnią po świecie, też było dosyć? Niezawodnie! Cała jaskrawość postaci Opata, jego dworu, jego spraw i obyczajów, tkwi w barwie tego czasu. Ale treść typu, ta — po za indywidualnemi rysami — należy do wszystkich czasów w naszym kraju.

Gdy wieki przeminą, sędzie taki Opat senatorem w sejmowem kole i nie dopuści biskupom ruskim w pobok siebie siąść. Będzie warcholił, będzie wichrzył, będzie wiązał polityczne partje, odzieje się rzymską purpurą, a w głębi duszy, mimo łaciny swojej zawsze i przedewszystkiem będzie i zostanie szlachcicem polskim — z krwi, z ducha, i z czynów.

A gdy znów przeminą czasy, pochowa butną głowę w kaptur i nazwie się Robakiem, ale burzliwy duch Jacka Wąsala nie przestanie mu pokutować w piersi.

I sędzie w Soplicowskiej karczmie, i będzie toczył codzienne narady z zaścianką szlachtą, ba, z chłopstwem nawet, — i wytrze chustką tabakierki denko i pokaże zebranym armję maleńką, i będzie mówił to o Napoleonie, to o Częstochowie, gdzie Ojcowie Paulini tabakę robią...

I powali celnym strzałem niedźwiedzia w mateczniku „puszcz litewskich,“ i zajedzie przed dwór Soplicowski z brzękiem dzwonków kwestarskich w ów ranek, kiedy to szlachta mokła pod ścianami w dybach.. I będzie miał nawet przy ołtarzu w ruchach i w głosie coś z żołnierszczyzny, a pod habitem będzie ukrywał starą ranę, której pewno nie dostał przy czytaniu mszału.

A gdy jeszcze przejdą czasy, to szlacheckie czucie się do ziemi, ta nieugasła energja Opata przewciela się w bohatersko-legendowe postacie i znów napełnią się bory brzękiem, hukiem i śpiewaniem, ile że i „clerici scholares“, ci z pogolonemi głowami, księgi o ziemię prasną i pójdą błąkać się po świecie, chociaż już nie z lutnią.

Inaczej ksiądz Wyszoniek. Ten, lubo kapelanem na dworze książęcym jest, ma wszystkie rysy zacnego wiejskiego proboszcza. W teologję niezbyt się zagłębia, łaciną słuchaczy nie praży, o to — kto wyrozumiewa rzeczy boskie, „osoba duchowna“ czyli „świecki człek“ — byle je wyrozumiewał ku poczciwemu żywotowi — nie pyta. Cały jest obrócony ku służeniu w potrzebie bliźniemu. Zna leki nietylko na niespokojność duszy, ale i na niemoc ciała. Sługą Boga najpierw jest, a sługą ludzi tuż zaraz. I ziół pomocnych uwarzy, i apteczkę w pogotowiu ma; i nad końmi jadących na wojnę rycerzy krzyża znak uczyni. Pogodny, cichy, nie następujący na nikogo powagą swojego kapłaństwa, ale noszący ją w piersi jako wonną myrrę ku ludzkiej pociesze, jest oraz pokornym w sobie i oglądającym się na zwierzchność światową. Jakoż waha się zrazu w sobie i srodze namyśla, czy dać ślub ów nocny, tajemny Zbyszkowi i Danusi. Przecież gdy księżna, która zastępuje dziewczynie matkę — odpowiedzialność na siebie za ów pośpiech bierze, dobry ksiądz Wyszoniek już tylko owe duszyczki młode roztrząsa, żeby zaś całkiem anielskie były i białe, a co tam nareszcie zbywa w formie, albo i w rzeczy, to już jakoś Bóg sam zdarzy, albo i przepuści.

Więc gdy znów czasy przeminą taki ksiądz Wyszoniek siedział będzie plebanem w ubogiej gdzieś wiosce, i chadzał będzie w wytartej sutannie, i cały alkierz jego będzie pachniał macierzanką i szałwiją i miętą. I osadzi roje pszczół na miodnych lipach, i „sam“ pszczołą pożyteczności się stanie. I wyjdzie rankiem na biały ganek swego cichego domu, i zlecą się do niego z całej wsi gołębie, wróble i dzieci, a on dla każdego znajdzie ziarno, i w ręku i w sercu.

I sędzie w sadzie swoim o zachodowej, o przezłotej zorzy, i zasłucha się w kląskaniu słowików i będzie mu się mżyć, śnić, że to muzyczkowie rajscy tak grają Ojcu w niebiesiech...

A gdy uderzy dzwon na wieczne „Ave“, i skończy się dzień służby, dzień pracy, nad mogiłą jego stanie taki sam krzyż, jakie nad wzgórkami chłopskich mogił stoją; tem tylko różny od nich, iż wyższy nieco i silniejszy, jako patrzący się temu, który braciom ludziom krzyż życia dźwigać pomagał. (C. d. n.)

Wiosna!

Na harfy życia struny tajemnicze,
wiosna swe silne, jak żywiołów moc,
spuściła dłonie przyjazne i drżące.
I zaszumiała harfa nicią złotą
w tysiące głosów i tonów tysiące,
i przebrzmiała, nie głuchą tęsknotą
jako w rozpaczy noc, —
lecz rozbudziła w melodję rozgłośną,
kędyś w pomroce dziejowej milknące
echa zwycięzkich, bohaterskich ech.
I popłynęła pieśń niepowstrzymana,
niby potoków górskich rwące prądy,
po przez nadzieją ubarwione lądy,
szła biało-skrzydła od morza do morza,
i jako burzy roziskrzonej grom,
mąciła spokój zadumanych strzech!..

O, płyń ty pieśni, ty oswobodzona
z lodowych zimy, nienawistnych pęt..
O, leć płomienna, niechaj w nasze łona
od twego żaru padnie jasna skra,
niechaj w posadach nasz niewoli dom
zadrży od twoich przepotężnych tonów...
O, grzmij ty wolna! Niech na sercach gra
twojego dźwięku siła niezwalczona,
niech ciało czynów nada naszym snom,
niech głos twój czysty i wielki pokona,
dreszcze zwątpienia i lęk słabych dusz.
O, grzmij piorunem, błyskawicą leć,
oświetlaj cienie ugornych zagonów
i wśród wiosennych zróżowionych zórz
rozbłękitnione stalą iskry nieć!..

Z. Poznańska.

6)

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Pewnego dnia...

Pies przywarł do ziemi ze zmęczenia, a pan Pliszka wygolił się starannie, ubrał odświętnie w jakąś starożytną czamarę, przypiął jakieś trzy ordery na pierś, wyczernił obcięte krótko nad ustami wąsy, wyświątecznił się nadzwyczajnie i wyszedł paradnym krokiem.

— Pójdziecie panie do kościoła? — zagadnął go Józef z drugiej izby.

— Idź sam, ja nie pójdę.

Pan Pliszka codziennie gorąco się modlił, ale do kościoła nie chodził!

II.

Pan Pliszka szedł do swojego kapitana, który był magazynierem jednej z fabryk i mieszkał daleko, bo aż za rynkiem Geiera, na krańcu miasta, prawie już w polach.

Daleko to było dla jego lat i drewnianej nogi, ale szedł prędko, jakby uciekał od domu pustego, od samotności. Miał w sobie pamięć głębokiej krzywdy, którą mu wyrządzili robotnicy i p. Radzikowa, tej krzywdy, że pojechali, więc szedł, jakby na skargę, na użalenie; musiał coś wiedzieć o stanie jego duszy Kruczek, bo szedł cicho przy nodze i często podnosił mądre oczy na pana.

— Dobrze! dobrze Kruczek! — szeptał cicho p. Pliszka i maszerował bocznemi ulicami, bo nie lubił Piotrkowskiej, tam było za wiele ruchu i za wiele ludzi.

Pan kapitan był właśnie w domu, siedział przed lustrem z namydloną brodą i z brzytwą w ręku.

— Pliszka, pokornie się melduję p. kapitanowi.

— Hę? A Pliszka, cóż tam?

— Wszystko w porządku.

— Co? a, w porządku? to dobrze mój chłopcze, dobrze? co?

— Wyczyść no mi buty i daj jeść moim smykom.

Pan Pliszka z przyjemnością czyścił kapitanowe buty i karmił ptaki, które krzykiem i świegotem zapełniały pokój, bo ich było kilkanaście klatek, porozwieszanych po ścianach.

— Ożeniłeś się chłopcze, co? — pytał kapitan, skrobiąc twarz brzytwą.

— Nie, pokornie melduję.

— Co? a nie, dobrze, bo w pochodzie baby na nic, rozumiesz?

— Rozumiem! — odrzekł krótko salutując.

— Co? a, rozumiesz, dobrze.

Zaczął gwizdać pan kapitan ostrząc na pasku brzytwę, odpowiedziały mu zaraz chóralnie ptaki i powstał taki pisk, że aż Kruczek zaszczekał w sieni.

— Psiakrew! — zaklął p. Pliszka przez zaciśnięte zęby!

— Co?... — zawołał prędko kapitan, odwracając się do niego.

— Powiedziałem: psiakrew, p. kapitanie.

Co! a, psiakrew!

P. kapitan, popatrzył w okno, splunął i zaczął się myć.

— Gorzałki się napijesz? Hej Magdusia, a dajno gorzałki!

Weszła zaraz Magdusia, baba, jak stóg siana, a ciężka, jak furgon artyleryjski, bo aż się podłoga uginała pod nią, odmierzyła z flaszki potężny kielich gorzałki i postawiła przed panem Pliszką...

Wypił, zasalutował i chciał całować w kapitański łokieć.

— Stać w szeregu! cicho! - krzyknął srogo p. kapitan.

Stał p. Pliszka, jak mu kazano przez chwilę, przez krótką chwilę, bo nagle zasalutował, odwrócił się po żołniersku i wyszedł nie mówiąc ani słowa, nie słuchając kapitańskiego wołania. Ot, coś go szarpnęło i wyrzuciło za drzwi, nie wiedział, co to było, ale był posłusznym i wyszedł spiesznie, jakby znowu uciekał. Na Piotrkowskiej zwolnił kroku, bo zabolała go noga. Uderzył się laską po szczudle, zniecierpliwiony był i zły.

— Po co oni pojechali? Przyszło mu znowu to samo pytanie na myśl. Całe dwa dni świąt miał przed sobą, dwa dni strasznej nudy, dwa dni samotności.

— Trzeba używać święta! — postanowił sobie.

I używał, chodził po ulicach, wstępował do szynków, gapił się na ludzi, ale ani na chwilę nie mógł zapomnieć o sobie.

A miasto wrzało tą świąteczną radością, radością bez troski chwilowej i odpocznienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła! Tak się lśniły radośnie dachy, tak błyszczały okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka leżała cisza wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach — tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzki, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokiemi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Łodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

Pan Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią: poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić ze sobą na wolnem powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie myśleć, bo nie może być sobą — oderwaną od swoich dusz prawdziwych— maszyn! (C. d. n.)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Sąd apelacyjny żądał od deputacji chodzkiej w pierwszych zaraz dniach, aby uznała dawne przywileje, jako wygasłe i złożyła przysięgę na posłuszeństwo i poddaństwo Lammingerowi. Mężowie zaufania Chodów dali jednak odpowiedź przeczącą. Nie ugięli się ani wówczas, gdy zamknięto ich w więzieniu Nowomiejskiej radnicy. Ale tu niedługo pozostawiono ich razem. Krzysztofa Hrubego i Jana Kozinę oddzielono od reszty, jako przewódców, jako ludzi, rozniecających iskry oporu w towarzyszach i zamknięto każdego w osobnej celi.

Górale spotkali się ze sobą później już raz jeden tylko i to w sądzie, gdy im odczytywano wyrok. Skazywał on Hrubego i Kozinę, jako najbardziej winnych, na rok więzienia, innym zaś oświadczono, że będą natychmiast puszczeni na wolność, skoro podpiszą dokument, uznający zależność ich podddańczą od Lammingera. Przytem jeden z sędziów przypomniał o nieszczęśliwym wyniku rebelji tam u nich, w górach, jakoteż o poddaniu się i podpisaniu na poddaństwo wszystkich wiosek chodzkich.

To ostatnie położyło kres wahaniom Chodów, na których więzienie wywierało wpływ przygnębiający, którym serca wzbierały tęsknotą za domem, za górami. Na cóż zdałby się już teraz dłuższy opór?

Niemiec z Miodakowa położył swój podpis pierwszy, za jego przykładem poszedł Pecz, potem inni, aż podpisał się w końcu i Ecl, który to wygłosił był w ostatki oną sławną mowę na śmierć bata ekonomskiego. Skończyło się więc! Nikt ich nie zatrzymywał, byli wolni, jak ptacy, a jednak nie czuli radości w sercu. Odchodzili od arkusza, leżącego na stole, krokiem powolnym, jakby od trumny...

Jeden z członków sądu apelacyjnego spróbował wezwać raz jeszcze Hrubego i Kozinę, aby się podpisali, lecz wójt drażenowski wstrząsnął przecząco siwą głową, a siostrzeniec jego, patrząc prosto w twarze panom, mówił z powagą:

— Lomikar poradzi przymusić nas do pańszczyzny, ale jakożbych ja sam mógł rzec o naszych prawach, że waloru nie mają? Pocóż w takim razie było rozpoczynać sądy? Pocośmy aż do Wiednia, do cesarza chodzili? Poco w więzieniu siedzimy? Poco tam, u nas, krew płynęła? A teraz miałbych powiedzieć: To było ino tak sobie, — na wiater, na żart? Dyć-ech rzetelnie wszystko ozmyślił, nim zacząłech. Prawa nasze nie utraciły znaczenia. Bogu to oddajmy...

Towarzysze Jana, którzy położyli już byli swoje podpisy na wyrocznym arkuszu, słuchali teraz słów jego z nisko pochylonemi głowami, a gdy opuszczając salę, mijali Hrubego i Kozinę, zaledwie oczy śmieli na nich podnieść...

Odeszli — a Jana i Hrubego odprowadzono ponownie do więzienia, które mieli opuszczać poto jedynie, aby iść w kajdanach na roboty aresztanckie.

Świat zamknął się za Koziną. Pozostał sam ze zmarnowaną nadzieją, z troską o bliskich, kochanych. Udręczało go również rozłączenie z wujem. Inni dali się w końcu złamać, — wytrwał on jeden, biedny, chory starzec! Gdybyż przynajmniej mógł być z nim razem, gdyby mógł doglądać go w chorobie! Prosił o to, lecz nadaremnie.

Tak mijały dni za dniami, ponure, żałobne. Gdy towarzysze wybierali się w drogę, coś drgnęło w piersi młodego górala. A teraz częściej o nich myślał, że są w domu, u siebie, przy dzieciach, przy żonie. On swoją rodzinę w marzeniach jeno mógł oglądać. Widział Hankę, zgnębioną, płaczącą, – widział i starą matkę zamilkłą, bez śladu łez na twarzy, ale w sercu podwójnie cierpiącą. Hanka za nim tęskni, nad jego losem boleje, ale matkę dręczy również myśl o zgasłych nadziejach, o dokonanem bezprawiu... Ach, więc już nie doczeka złotej wolności, gwoli której strzegła dokumenty, jako źrenicę oka, a syna wydała na walkę i męki! — A Pawełek, Hanusia? — Serce mu biło, gdy myślał o nich, jako o biednych, opuszczonych sierotach, lub gdy wywołując mamiące obrazy przeszłości, wspominał wesołość, śmiech, pieszczotliwość swoich dzieci, gdy słyszał w duszy dźwięk ich głosów, albo tupot drobnych stopek, biegnących na jego spotkanie...

Wyobraźnia ukazywała mu dalej Hankę, gdy leciała do Kleńcza dla rozmówienia się z Eclem, a potem wracała w smutku, że on, jej ukochany, nie prędko jeszcze wróci!... Jak sobie da radę bez niego w domu i przy gospodarstwie? Co pocznie? A — on! Nie zobaczy już nikogo, jakby był pogrzebany za życia! Gdybyż przynajmniej wieści ze „swoich stron“ powiedziały mu, co się dzieje w domu i na całej ziemi chodzkiej...

Co się dzieje? Ha! Kozina marszczył brwi i zacinał pięści, myśląc o bezprawiach, dokonanych nad nim i nad całym narodem chodzkim. Wołały one o pomstę do nieba, ale znikąd nie było ratunku, znikąd sprawiedliwości!

(C. d. n.)

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Ilnicki Tomasz, więziony w Ussolu, sądzony na 15 lat „katorgi“, był rodem z królestwa kongresowego, mieszkańcem Warszawy, mężem ś. p. Marji Ilnickiej, znanej poetki i idealnej dobroci kobiety. Dusza tej niewiasty gościła stale za jej życia, jak się poetycznie wyrażał, mówiąc o ś. p. Marji, Tadeusz Korzon „w kryształowych pałacach poezji“ i nie rada zstępowała w progi życia prozaicznego, tym urokiem poezji, tym idealnym powiewem delikatności uczuć tchnęło i całe jej otoczenie, a mąż Marji, Tomasz, wielbiąc swą małżonkę i mając ją za wcielenie zaziemskiej jakiejś istoty, żył i tonął cały w ułudnem świecie ideałów. . Słabego zdrowia, wątłej budowy ciała, marzycielskiego usposobienia umysłu, przytem niezmiernie delikatny w obcowaniu z ludźmi, wpadł naraz ku swemu nieszczęściu, koleją losów nieprzewidzianych rzucony, w szpony najbardziej zwierzęce, jakie sobie przedstawić tylko można, mianowicie w łapy śledczej komissji na „Pawiaku“, i to pod złowrogim zarzutem, strasznym dla życia człowieka, bo głoszącym, że należał do rządu narodowego i pełnił czynność kasjera skarbu powstańczego. Komisja dostawszy w swe ręce tak wielkiego, rzekomo przestępcę, obchodziła się z nim bez wszelkich ceremonij, w tem przekonaniu, że grób nie wypowie tajemnicy męczeństwa, a na szubienicę przeznaczano torturowanych. Otóż, gdy Ilnicki przeżył ciężkie chwile więzienia, gdy przeszedł przez ręce oprawców takich, jak: generał Tuchołko i pułkownik Zdanowicz, złamany został na ciele i duszy. Bicie, trzymanie w lochu wilgotnym, nieopalonym, wogóle całe obejście się z nim, jak: policzkowanie, rwanie za włosy na głowie, targanie za brodę i wąsy, szczutkowanie w nos, słowem, naigrawanie się prostaczo-barbarzyńskie członków komissji wiecznie pijanych przy indagacjach — wywarły niezmiernie głębokie, bo niedające się już niczem zatrzeć wrażenia, na umyśle ś. p. Tomasza.

Jeszcze w więzieniu na „Pawiaku“, będąc wraz z nim, z Toczeskim, z Krajewskim, z Paprockim i kilku innymi, zamknięci w jednej sali, i spędzając tam całą noc wspólnie, w oczekiwaniu przemieszczenia naszego do cytadeli warszawskiej, spostrzegliśmy wielkie zmiany w Ilnickim, nie mówię tu o samym wyglądzie fizycznym, bośmy siebie wzajemnie trudno poznawali, lecz stan umysłowy ś. p. Tomasza budził w nas smutne obawy.

W późniejszym czasie, gdy go nie powieszono, a stało się to według jego zdania z powodu, że w cytadeli nie było na razie więcej nad 5 szubienic, opanował go obłęd nienawiści niepokonanej do wszystkiego, co rossyjskie. Ziemia, wody, miasta, sioła, nawet powietrze i niebo traciły wszędzie tam w jego oczach urok swój i wszystkie właściwości natury dodatniej, gdzie tylko mieszkali Rosjanie. Wzdragał się przy widoku „moskala“, nie mógł słuchać spokojnie dźwięków mowy rosyjskiej, nie zdołał „wykrztusić“, jak się wyrażał jednego słowa „tej gwary barbarzyńskiej“, która nawet w wierszach Puszkina i Lermontowa przypominała mu, jak powiadał: „świst nahajów, jęki knutowanych i ryk oprawców“. „Mowa każdego ludu, jest obrazem jego duszy“, mawiał Ilnicki, — „kto poznał tę duszę, ten ocenić potrafi i mowę — ja się nią brzydzę, jak również mam wstręt do duszy spodlonej niewolnictwem“. W wypadkach, gdy musiał ś. p. Tomasz zetknąć się osobiście „z siepaczami“, jak nazywał wszystkich Rosjan, tracił wtedy moc panowania nad sobą.

Stan taki opłakany, na wskróś chorobliwy, trwał z nim w ciągu całej podróży naszej wspólnej z Warszawy do Tobolska. Szalony pospiech, z jakim transportowano wtedy pocztą skazanych z Królestwa Polskiego, po drodze z „Niżniego-Nowgorodu“ do Tobolska, nie pozwalając na żaden dłuższy wypoczynek, jak tylko w chwilach przeprzęgu koni na stacjach, wpływał niekorzystnie na stan zdrowia wszystkich więźniów, a tembardziej na stan zdrowia ś. p. Tomasza; nieraz w nocy wnosili go żandarmi na rękach, z wózka podróżnego do izby pasażerskiej na stacji, i układali go na ziemi, prawie martwego ze zmęczenia; gdy nowa trójka była gotowa, niesiono go znowu na wózek torturowy i tam skurczony, zwykle przywiązywany, ażeby nie spadł z wozu w pędzie galopujących koni, smaganych nielitościwie przez jemszczyka, którego znowu naglili żandarmi, — leżał bez okrycia na głowie jak nieżywy, bijąc głową, przy każdym podskoku wózka, o jego krawędzie. Jak wytrzymał on tę podróż, jak jeszcze przy życiu zdołano go dowieźć do Tobolska — pojąć trudno.

Po przybyciu do Tobolska zachorował Ilnicki i musiał odłączyć się od naszej partji, ażeby odpocząć i leczyć się w szpitalu więziennym, dopiero po kilku miesiącach dognał nas w Irkucku, gdzieśmy oczekiwali wtedy na ustalenie się drogi za Bajkałem. Był on wówczas nieco zdrowszy na ciele, ale rozdrażnienie nerwowe trapiło go ciągle; pomimo to blizcy jego znajomi cieszyli się i z tego pozornego polepszenia, sądząc, że reszty dokona czas. Miewał nawet niekiedy przebłyski weselszego usposobienia, które czyniły go dawniej tak

przyjemnym w towarzystwie; w chwilach, o których mowa, żartował z siebie samego, powiadając, że już powoli przywykać zaczął do trucizny, może n. p. jadać teraz ze wspólnego kotła „lurę czarniawo-barwną“, „bałandę więzienną“, którą chrzczono nazwą „rosołu katorżnego“, że potrafi następnie spożywać chleb razowy, katorżny, ze stęchłej mąki pieczony, „brykałem“ zwany, mający wygląd i plastyczność gliny, że nawet, co więcej, zdoła już układać wiersze „à la Puszkin“. Tutaj cytował zwykle wiersze przez siebie ukute, z pomiędzy których, pozostałych mi dotąd jeszcze w pamięci, przytoczę dwa następujące; mają one, jakoby wyrażać uczucia miłości rozkochanego młodzieńca „korzennego ruskiego człowieka“, jak utrzymywał ś. p. Tomasz.

„Prycepiłaś ty mnie, kak akoszka klejstier,
Bud' majewo siedrca oberpolicmejstier.

Chwile jednak żartobliwego nastroju trafiały się bardzo rzadko, natomiast stale bywał pogrążony w zadumie ciężkiej, nienaturalnej, przesiadywał całemi godzinami na narach z podwiniętemi nogami, milczący wśród hałasu i gwaru kilkuset ludzi, współwięźniów, natłoczonych jak śledzie w beczce w sali więziennej; ruch tylko nerwowy warg jego świadczył, że jakieś myśli, odziane w formę niemych wyrazów, pędziły falą nieprzerwaną w jego umyśle. Jedyną rozrywką, skuteczną na smutek głęboki, który go przygniatał, stanowiły szachy; w tej grze był niepokonany, grając n. p. z Gruszeckim Michałem, biegłym szachistą, nie przegrywał nigdy. Całe tedy, długie wieczory zimowe przesiadywał u szachownicy i nad nią zasypiał, w tych wypadkach odprowadzano go i układano do snu. W nocy zrywał się często przestraszony, nieprzytomny, wołając, ażeby go zabito, a nie męczono, śnili mu się widocznie członkowie komissji śledczej z Warszawy.

O żonie swojej, ś. p. Marji nie mógł Ilnicki nigdy wspominać, bo łzy tamowały mu mowę. Gdy w jego obecności wspominano o powrocie, gdy mówiono o przyszłości ojczyzny, lepszej, jaśniejszej, wtedy powiadał z goryczą: „Po co się łudzić, my się już tego nie doczekamy. Co do mnie, dodawał, to gwiazda nadziei żadnych promieni już nie użycza“.

Żegnając ś. p. Tomasza, gdy odjeżdżał z Irkucka do Ussola, a my gotowaliśmy się w dalszą podróż za Bajkał, byliśmy prawie przekonani, że długo nie pożyje, albo, że, co gorsza, skończy obłędem zupełnym; zresztą i on sam miał jakieś przeczucie bliskiego zgonu, wyrzekł bowiem przy pożegnaniu te słowa: „Już się nie zobaczymy, wy młodsi, może wrócicie kiedyś do kraju, my starsi natomiast zginiemy tu na wygnaniu, pozdrówcie w naszem imieniu ziomków, uściśnijcie znajomych i przyjaciół“. Wymawiając te wyrazy, zalał się łzami i z nerwowem drżeniem usunął się gwałtownie przed pożegnalnymi uściskami przyjaciół.

Pobyt w Ussolu nie wpłynął dodatnio na stan umysłu ś. p. Tomasza. Do obłędu nienawiści przyłączyła się następnie manja prześladowcza. Począł niedowierzać najbliższym nawet przyjaciołom, stronił od ludzi i byłby może stracił zmysły, lecz go ręka zbrodnicza zbójów miejscowych pozbawiła życia w chwili, gdy szedł wieczorem po ulicy.

Z pism i książek.

Bronisław T. Grabowski. Obrazek jeho života a literarni činnosti. Podava A. Hora V. Pilzni 1901.

Książeczka ta nie jest wieńcem na grób zmarłego pisarza: kwiaty szybko więdną - ona zostanie Nie jest też i pomnikiem: marmur taki zimny — ona ma serce!

P. A. Hora, zasłużony autor wychodzącego obecnie słownika czesko-polskiego, skupił w tych kartkach wszystko, co może rzucić blask na postać przyjaciela, który odszedł na spoczynek wieczny po długim, znojnym dniu roboczym. Mamy tu opowieść o życiu publicznem i prywatnem ś. p. Grabowskiego, wraz z sylwetką, bardzo idealną, jego żony. Jest ocena miękkiem kreślona piórem, wszystkich utworów, nawet artykułów, rozsianych po pismach tak specjalnych, jak ludoznawcza „Wisła“. A cóż dopiero mówić o pracach, które miały na celu wzajemne zbliżenie się i zapoznanie narodów słowiańskich wogóle, a polskiego i czeskiego w szczególności? Nad tą stroną działalności literackiej Grabowskiego, która stanowi zresztą zasługę jego najistotniejszą, Szanowny autor zatrzymuje się długo, z upodobaniem serdecznem. Znać tu jednak pewną nieznajomość stosunków w zaborze rosyjskim. Grabowski, pisze p. Hora, miłował wszystkich Słowian, prócz Rosjan. - »Powiadają nawet, że pisał ponoś przeciwko nim artykuły w kalendarzu (Grab. sam wydawał przez lat 20 »Kalendarz Częstochowski«), jeno nie pod swojem nazwiskiem«.

Jakże dziwnie brzmią dla nas, Polaków podobne słowa! Alboż w wydawnictwach, wychodzących pod cenzurą rosyjską można pisać cośkolwiek przeciwko Rosji? — Albożcenzor nie wykreśliłby wszystkiego, coby było aluzją najdalszą, krytyką najlżejszą, a ich autor lub wydawca czyżby się nie znalazł na liście proskrypcyjnej?

Co zaś do miłości, to tej Grabowski nie mógł mieć w sercu bez sprzeniewierzenia się deptanej ojczyznie. a nawet bez stłumienia w sobie wszelkich uczuć osobistych. Wszak i on, literat, nie mieszający się nigdy do polityki, — człowiek przekonań nadzwyczaj umiarkowanych, był przez całe życie prześladowany przez rząd i jemu ciężka ręka despoty miażdżyła nadzieje. burzyła plany... P. Hora wie i o tem równie dobrze, jak o wszystkem, co dotyczy Grabowskiego, przytacza wiele i bardzo jaskrawych ustępów z jego korespondencji. A jednak..

Wyczerpującą i ciepłem szczerego uczucia owianą monografję zamyka przekład poezji A. Pileckiego, poświęconej zmarłemu koledze po piórze. Przekładu dokonał Wacław Krofta. *M.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.